

I

BALLADA O TRUJĄCYCH OSTACH

MAGICZNE
I MAGICZNE

WROTA
WROTA

MAGDALENA
SŁUSZNIK

M A G D A L E N A
S Ł U S Z N I A K

MAGICZNE
I MAGICZNE

W D O T A
W R O T A



**Mojemu narzeczonemu Konradowi,
babci Misi i dziadkowi Czesiowi
oraz moim pierwszym czytelnikom – kochanym MAS&MAS**

PROLOG

Czarownica miała wizję. Wiedziała, że los setek istnień spoczywa w jej rękach. Nim zapadła noc, opuściła swoją chatkę pośrodku lasu i czym prędzej pobiegła do królestwa na Południu. Wystarczyło kilka uroków na gwardzistów, aby mogła niepostrzeżenie dostać się do zamku. Spoczęła na oknie i jej oczom ukazała się kołyska, a w niej dwóch chłopców. Nie różnili się niczym, każdy miał niewielką szczecinę jasnych włosów na główce. Obaj spali spokojnie, niczego nieświadomi. Czarownica nie wiedziała, które z bliźniąt ujrzała w swej wizji. Czy to miało znaczenie? Postanowiła zaryzykować i, nim ktokolwiek ze starszych zdał sobie sprawę z jej obecności, chwyciła chłopca śpiącego bliżej okna i uciekła w ciemną noc.

Chłopiec nie obudził się. Nie przeszkadzały mu opary ciężkiego dymu, unoszącego się z miedzianych kotłów. Czarownica uwiła mu miękkie posłanie ze słomy i koca w najcieplejszym miejscu chatki, by zziębnięte niemowlę nieco się ogrzało. Nie pasowało do otoczenia – wciśnięte gdzieś między kotły a kominek w bałaganie ze słoików i fiolek z miksturami. Sznur z zasuszonymi roślinami, zawieszony pod sufitem, wyglądał jak ozdobna girlanda w dziecięcym pokoiku. Składał się jednak z prawie samych trujących roślin, co nie czyniło chatki czarownicy odpowiednią przestrzenią dla dziecka. Próżno jednak było w niej szukać pajęczyn i robactwa, gdyż chatka nie była brudna, a raczej nieco zagracona.

Czarownica odetchnęła, jakby odczuła ulgę. Udało się porwać dziecko i nie zostać schwytaną, co było jednocześnie sukcesem i dopiero początkiem jej zmartwień. Cóż miała począć? Chłopiec został odebrany rodzicom. Nawet nie wiedział kim jest, a to on miał pojednać oba rody. Dwa wojujące ze sobą królestwa z młodymi władcami na czele.

Rozległo się donośne pukanie. Któż śmiał przybywać o tej porze? Czarownica otworzyła drzwi, lecz od razu je zamknęła. To był Bartłomiej – jej najdroższy. Postanowiła go wyprosić. Nie mógł dowiedzieć się o chłopcu.

– Przepraszam, ale nie czuję się najlepiej. Przyjdź kiedy indziej.

– Mam ci coś ważnego do powiedzenia! – zagrmiał mag.

– Mów zatem – odparła, nawet nie otworzywszy ponownie drzwi. – Byle szybko.

– Ależ otwórz! – nalegał, lecz czarownica nic sobie nie robiła z jego próśb, dlatego zaczął tłumaczyć swe niezapowiedziane najście zza zamkniętych drzwi. – Czarna magia pochłonęła ducha twojej córki, Nataszo. Znalazłem dla niej nową rodzinę, by zapomniała o czarach. Nie mogłem jej dłużej ukrywać w Wieży.

– To dobrze, dziękuję.

– To wszystko? Tylko tyle masz mi do powiedzenia? Duszę twojego dziecka spowił mrok, nie rozumiesz? W Wieży gęsto od białej magii, będzie lepiej, gdy...

– Idź już. – Miała poważniejsze zmartwienia niż pomiot byłego męża.

Wtem w chatce rozległ się płacz niemowlęcia. Rozzłoszczony Bartłomiej wyważył zakłóceniem drzwi.

– Co to ma znaczyć, Nataszo?! Skąd u ciebie to dziecko?!

Czarodziej podszedł bliżej. Machnął ręką, aby odpędzić gęste opary bijące od kotłów i by móc lepiej przyjrzeć się dziecku. Łapiąc się za włosy, pokręcił z niedowierzaniem głową. Co też ta wiedźma znów wymyśliła?

– Oddaj to dziecko jego rodzicom! – nakazał.

– Bartłomieju, nie mogę! Musiałam go zabrać, miałam wizję.

– Sprowadzasz na siebie tylko kolejny kłopot. Oddajże go.

– Nie mogę – odparła. – On zmieni losy świata. Muszę go przenieść na Północ, do królestwa Henryka.

– Czyj to syn? – zapytał mag.

Natasza z początku nie chciała mu powiedzieć. Jednakże ostatecznie nie potrafiła utrzymać tej informacji w sekrecie.

– Oto spoczywa przed tobą jedno z bliźniąt Lancelota.

Bartłomiej usiadł.

– To niemożliwe. On ci tego nie daruje.

– Nie dowie się, że to ja.

– Musisz go oddać, rozumiesz?

Natasza pokręciła głową.

– Czemuż by nie? – spytał Bartłomiej.

– Dzięki niemu Północ i Południe się połączą. Za dwadzieścia lat nikt nie będzie pamiętał o wojnach! To dziecko pojedna rody!

– Co dokładnie ujrzałaś w wizji?

Natasza opowiedziała mu wszystko po kolei. Im więcej mówiła, tym bardziej oczy czarodzieja rozszerzały się w coraz większym zdumieniu. Bartłomiejowi trudno było sobie to wszystko wyobrazić, ale musiał się zgodzić. Wizje czarownic zawsze były prawdziwe.

– Bartłomieju, musisz mi pomóc.

Czarodziej chwycił ją za dłonie.

– Jak mogę to uczynić, ukochana?

– Weź go ze sobą. Zabierz go do Wieży i zadbaj o niego. Zrób coś, by w przyszłości dostał się na zamek. Jednakże nie zdradzaj mu jego prawdziwego pochodzenia, ponieważ może chcieć pojednać się z ojcem! Nie mów mu niczego. Sam musi zdecydować po której stronie chce być.

– Obiecuję, że tak się stanie – odparł.

Wychodząc rankiem z Wieży, kiedy pozbywał się pięcioletniej wiedźmy, nie spodziewał się, że wieczorem wróci z noworodkiem.

Chłopiec mrugnął ostatni raz swoimi błękitnymi oczami i zasnął. Nie obudził się aż do rana, gdy krzątający się po Wieży Magów czarodzieje wyrwali go ze snu.

*Może ona jest gdzieś tu
Wśród tych codziennych spraw,
A może to tylko gra?
Mijamy się, może znamy się od dawna,
Nie wiemy gdzie leży prawda
I choć to trudna sztuka
Nie przestajemy szukać.*

– Marcin „Liber” Piotrowski

Szukamy

(z albumu *Moderato*)

CZEŚĆ PIERWSZA: ZAMEK

„Nie władca, przed którym ludzkie serca drżą ze strachu jest potężny, a ten do którego człowiecze serce lgnie, bo go ukochało” – mawiał mój dziadek. Zawsze przypominałam sobie te słowa, gdy królowa robiła coś niewłaściwego. Zawsze, gdy miałam pewność, że tato postąpiłby inaczej.

Ten ranek był jednak inny. Po pierwsze, dopiero co się obudziłam i nic niewłaściwego nie zdążyło się jeszcze wydarzyć. Po drugie, nawet jeśli by się wydarzyło, nie miałam prawa o tym wiedzieć. Mimo wszystko odczuwałam niepokój. Słowa dziadka pojawiły się w mojej głowie zaraz po przebudzeniu, jakby były ostrzeżeniem dla tego, co miało nadejść. Być może z powodu nawiedzającego mnie snu, a może dlatego, że instynkt podpowiadał mi, że tego dnia wydarzy się coś szczególnego, będącego początkiem czegoś, co wywróci mój świat do góry nogami. Kolejny idiotyczny pomysł mojej matki. Gdyby tylko tato żył...

Po raz kolejny umarł w moim śnie. Znowu obudziłam się z goryczą w gardle, żalem i smutkiem na ustach. Minęło ponad dziesięć lat, a ja nadal bałam się, jednocześnie wiedząc, że jestem bezpieczna. Ja, jedna z niewielu osób, które naprawdę mogły zachować spokój, bałam się wszystkiego. A cóż mieli powiedzieć mieszkańcy naszego królestwa?

Śniłam o nim prawie każdej nocy, mając w pamięci tamten dzień.

Dochodziła dziewiąta wieczór. Za oknem sypał śnieg z deszczem, był początek zimy. Siedzieliśmy z bratem, zawinięci w koc haftowany w złote smoki. Ciepło z kominka parzyło me policzki. Mój brat trzymał w rękach księgę i uczył mnie herbów wszystkich królestw. Szło mi dosyć opornie, ale on był dobrym nauczycielem, tak jak nasz tata. Tego dnia brat zastępował go, przecież miał już jedenaście lat! Pilnował, bym piła gorącą herbatę i nakrywał każdy skrawek mojego ciała kocem, gdy tylko lekko się spod niego wysunęłam. Traktował mnie jak małą dziewczynkę, a ja złościłam się, gdyż uważałam się za dojrzałą, niż w rzeczywistości byłam. Słuchałam opowieści, które mój brat zasłyszał od taty. Fascynowały mnie historie o czarownicach i smokach, krwiożerczych wilkołakach, srebrnowłosych jednorożcach. Gdy odgadłam kolejny z herbów mój brat pochwalił mnie:

– Będiesz wykształconą królową. Może nie najroztropniejszą, ale przynajmniej wykształconą.

– A ty będziesz jeszcze lepszym królem – odpowiedziałam, spoglądając na niego z uwielbieniem.

– Tato może być z nas dumny.

Brat poczochnął moje włosy. Księga poszła w odstawkę. Chcąc się zrewanżować, szturchnęłam Irka w bok, a on zaczął mnie łaskotać. Krzyczałam wniebogłosy, a on zaśmiewał się do rozpuku.

Nagle trzasnęły drzwi, stanęła w nich zakapturzona matka. Jej szata ociekała wodą. Serce podeszło mi do gardła, gdyż jej mina mogła oznaczać jedno. Przegraliśmy trwającą właśnie bitwę.

– Zabili go.

W tamtym momencie poczułam się, jakby świat się zawalił, a z mojego gardła wydostały się krzyki, by po chwili przeobrazić się w wycie. Brat trzymał mnie mocno i uciszał. Opatulił kocem, tak abym nie mogła się ruszać, i kojącymi słowami starał się załatać ogromną dziurę w moim sercu. To, co się stało, przebiło je na wylot. Resztę nocy spędziłam w bezruchu, a księżyc przyjął odcień czerwieni, jakby na znak przelanej na froncie krwi. Razem z bratem nie zmrużyliśmy tamtej nocy oka, tylko przytulaliśmy się aż do rana – dnia moich ósmych urodzin.

Mój brat już wtedy cechował się odwagą i odpowiedzialnością, jak przystało na następcę tronu. Już wtedy zachowywał się, jak mężczyzna. Otaczał mnie opieką, był oparciem, moim obrońcą. Irek miał wtedy tylko jedenaste lat. Nigdy nie okazał przy mnie słabości. Był najlepszy i najsilniejszy. Dopiero po latach zrozumiałam ile dla mnie poświęcił.

Wstałam z usłanego atłasem łoża, stojącego pod rozłożystym baldachimem. Moje bose stopy dotknęły miękkiego, brązowego dywanu. W powietrzu czuć było jeszcze zapach różanych świec, które dogasły zapewne dopiero przy wschodzie słońca. Tak wyglądała moja codzienność, gdy niektórzy podwładni spali pod brudnymi kocami, a na głowy przez dziurawe dachy spływał im deszcz. Nie byłam z tego dumna.

Podeszłam do okna i spojrzałam na królestwo. Koszary, Wieża Magów, kościół, targ, małe, jednoizbowe chatki. Dalej były pola, dookoła nich lasy. Na wschodzie mogłam dostrzec port wraz z wysokimi masztami okrętów. Zamek mojej podłej matki wznosił się na samym szczycie tej przeklętej ziemi.

Mój tato, król Henryk, zmarł dziesięć lat wcześniej w czasie wojny o Magiczne Wrota. Człowiek był z niego cudowny – kochający ojciec, dobroduszny król. Nie to co moja matka – zołza. Nie wiedziałam, jak tata mógł się z nią ożenić. Był ślepy, głupi, a może to czary? Wiedziałam jedno – moja matka, królowa Adelajna, przenigdy nie będzie potrafiła go zastąpić.

Otworzyłam okno, chwytając za złotą klamkę, i od razu do mych nozdrzy dotarły rozmaite zapachy. Pieczona kaczka, chyba ciasto pomarańczowe z imbirem... Zerknęłam w dół i parsknęłam. Mogłam się tego spodziewać. Bezpośrednio pod moją komnatą znajdowała się zamkowa kuchnia, a naszych dwóch kucharzy stało wtedy przy jej tylnych drzwiach. Jasnowłosey, dwudziestoletni Erwin i dwudziestosześcioletni Marcinek – pijak o szczurzej twarzy. Kucharze palili jakieś ziele, którego kwaśny zapach, przebijający się przez zapach potraw, docierał do mojego okna. Spojrzały na mnie błękitne oczy.

– Dzień dobry – Usłyszałam śmiały głos Erwina. – Jak smakowało śniadanie?

– Jeszcze nie miałam okazji go spróbować – odparłam pogodnie i zdałam sobie sprawę z tego, jak zachrypnięty mam głos.

Odchrząknęłam, ukradkiem przykładając pięść do ust.

– No to radzę się pośpieszyć, księżniczko. – Erwin zaciągnął się swoim ziele. – Chyba, że nie lubisz oliwek – rzekł, podnosząc jedną brew.

Parsknęłam kolejny raz. Doskonale wiedział, że je uwielbiałam.

– Nawet stąd widzę, jak ci się oczy zaświeciły na samą myśl o oliwkach. Smacznego – dodał, dogasając palący się rulonik i puszczając mi oczko.

Wrócił wraz z Marcinkiem do kuchni.

Poczułam dziwne drgnięcie w okolicach klatki piersiowej. Czy tak powinna zachowywać się służba? Erwin czasami miał gdzieś zamkową etykietę i dystans, jaki powinien mieć miejsce między kucharzem a księżniczką, a mi, musiałam przyznać, wcale to nie przeszkadzało. Był jedną z niewielu osób, która traktowała mnie po prostu normalnie. Bez zbędnych ukłonów, innych frazesów i przesadnego tytułowania, chyba że chciał mi dopiec. Tak, Erwin miał czelność się ze mną droczyć, a ja rumieniłam się wówczas jak piwonia, co niebawem śmieszyło mojego brata, gdy tylko był tego świadkiem.

Z głupim uśmieszkiem na ustach zamknęłam okno. Wykonałam poranną toaletę – przemyłam twarz ciepłą wodą, rozczesałam włosy. Przebrałam się w wygodną suknię i postanowiłam zjawić się czym prędzej na śniadaniu. Gdy tylko przekroczyłam próg mojej komnaty, dotarło do mnie, jak ważny był ten dzień. Skarciłam się w myślach, nie dowierzając, że mogłam o tym zapomnieć. Przecież mój brat miał urodziny!

Irek, a raczej książę Ireneusz, kończył dwadzieścia jeden lat i z tej okazji odprawiany był wieczorem bal na jego cześć. Mój brat był czwartym mężczyzną w rodzinie noszącym to imię. Od kilku pokoleń panowała w naszej rodzinie tradycja, by nadawać chłopcom imię Henryk, lecz jedna z moich prababek, żona Henryka V, zbuntowała się i nazwała swojego syna Ireneuszem, wywołując niemały konflikt w rodzinie. Ireneusz I swojego syna nazwał jednak Henrykiem i od tamtej pory chłopcom na zmianę nadawano imię Henryk lub Ireneusz.

Wracając do balu – nie było to byle jakie przyjęcie. Każdy mężczyzna w naszym królestwie po ukończeniu dwudziestu jeden lat miał obowiązek rozpocząć szkolenie wojskowe w koszarach. Cztery lata wcześniej matka ustanowiła to prawo, żeby chronić Irka, bo wtedy obowiązkiem było szkolenie od osiemnastego roku życia. Sprytnie, prawda? Ale nie można było tego dłużej odwlekać. Wiedziałam, że wojna szybko nadejdzie. Coś wisiało w powietrzu, nawet u nas w zamku można było to wyczuć. Doskonale wiedziałam, że matka coś kombinuje. Utraciliśmy Magiczne Wrota dziesięć lat wcześniej, a ona, chyba tylko sam Bóg wiedział czemu, pragnęła je odzyskać. Twierdziła, że zapewni nam bogactwo. Szpieczy naszego wroga – króla Lancelota – podsłuchali jakie plany ma moja matka, a szpieczy mojej matki dowidzieli się, że Lancelot już wie i szykowali odwet. Wiedziałam, że będzie się starał zapobiec choćby najmniejszej próbie odbicia Magicznych Wrót. Znacznie lepiej było zapobiegać, niż martwić się skutkami.

Ponad sto lat wcześniej, mój pradziadek, król Henryk VII odznaczył się w dziejach jako jeden z najpotężniejszych władców. To dzięki niemu Magiczne Wrota stały się własnością

mojej rodziny. Był niezwykle szczodry. Rozdawał poddanym ogromne ilości złota, budował nowe domy, sprowadzał na Północ nieznane dotąd nikomu owoce i warzywa. Nasze królestwo było wówczas silne i zbudowane na mocnych fundamentach. Ale tamte czasy dawno minęły i chyba nikt nie łudził się nawet, że ktoś jeszcze byłby w stanie dokonać tego, co dziadek. A już na pewno nie moja matka.

Zesłam do jadalni. Matka i brat już siedzieli przy okrągłym stole. Nie był suto zastawiony, w dni powszednie w moim domu nie marnowało się jedzenia. Każdy dostawał porcję dopasowaną do swoich możliwości. Jedynie w święta i podczas przyjęć królowa przymykała oko brak oszczędności. Wtedy stoły uginały się pod nadmiarem potraw, by wzbudzić zachwyt i zazdrość wśród gości.

Skinęłam służącym na przywitanie, a one ukłoniły się grzecznie. Stały w pogotowiu, obok komody, na której znajdowała się porcelanowa zastawa i sztucce, by w każdej chwili być gotowe na nalanie nam herbaty czy wody, albo by szybko podać nowy widelec, gdyby któryś nieopatrznie upadł na podłogę.

Prócz komody i okrągłego stołu z trzema krzesłami, w jadalni stały dwa kredensy z przeszklonymi drzwiczkami. Doprawdy, nie wiem po co naszej trójce aż tyle zestawów talerzy, waz i filiżanek. Dla gości mieliśmy inną zastawę. Jadalnia była przestronna, ale jednocześnie przytulna, dzięki dużej ilości znajdujących się w niej dekoracji – gustownych dywanów, obrazów królewskiej rodziny, donic i wazonów z żywymi kwiatami oraz wymyślnych żyrandoli.

– Widzę, że łaskawie postanowiłaś się zjawić – powiedziała matka i zacisnęła usta.

Jak zwykle wyglądała nienagannie. Dobiegała już pięćdziesiątki, więc nie ubierała się tak ekstrawagancko, jak inne damy z bogatych rodów. Szmaragdowozielona suknia zasłaniała jej dekolt i połowę szyi. Szczupłe palce z niebywałą gracją posługiwały się sztucami. Jej kasztanowe włosy spięte były w wymyślny, lecz schludny kok. Zamrugła ostrzegawczo w moim kierunku swoimi krótkimi rzęsami.

Zignorowałam jej kąśliwą uwagę, nie chcąc wdawać się w niepotrzebną kłótnię.

Pocałowałam brata w policzek na przywitanie.

– Wszystkiego najlepszego!

Podziękował mi, o mało nie dławiąc się jedzeniem. Zasiadłam za stołem, postanowiwszy od razu zająć się śniadaniem. Placki pszenne z pastą oliwkową! Super!

Brat przyglądał mi się podejrzliwie. Być może zdziwiło go to, że nie odpyskowałam matce. Miałam jednak dobry humor i nie zamierzałam go sobie psuć. Wydawało mi się jednak, że atmosfera przy stole jakby zgęstniała, gdy się przysiadłam. Matka co jakiś czas rzucała krótkie spojrzenia w stronę Irka albo odchrząkiwała. Pokłócili się? Oni rzadko bywali skłóceni. Przerwałam im w rozmowie? To dlaczego nie kontynuowali? Mieli tajemnice? Przede mną?

– Muszę z wami porozmawiać – powiedziała w pewnym momencie matka, ocierając usta serwetką i wrywając mnie z rozmyślań. – Dzisiejszy wieczór ma pokazać, że dojrzelście i jesteście odpowiedzialni, rozumiecie? Nie ośmieszcie mnie ani waszego ojca.

– Matko, mam już dwadzieścia jeden lat. – Mój brat wyprostował się. – Naprawdę jestem w stanie reprezentować nasze królestwo w czasie wojny.

– Musicie założyć dzisiaj korony – odparła królowa.

O nie. O nie, nie, nie. Irkowi zrzędła mina. Nie tego się spodziewaliśmy.

– Matko...

– Chociaż raz pozwól nam... – zaczęłam, lecz nie wiedziałam co dalej.

– Korony są potwornie niewygodne... – dodał mój brat.

– Wrzynają się w głowę, ciągną za włosy... – Wyliczałam na palcach.

– Żadnych dyskusji – przerwała nam matka, poprawiając koronę, którą zawsze miała na głowie.

Zapadła cisza. Pogrzebałam jeszcze chwilę w talerzu, przeżułam kilka kawałków mojego ulubionego dania, ale chyba straciłam apetyt. Zaczęłam więc odpieczętowywać jedną z lodowych kapsulek, które dostawaliśmy po posiłkach. Był to wynalazek magów wspomagający trawienie.

Kręcące się w pobliżu służące, usłyszawszy szeleszczący dźwięk, jak na komendę podeszły do stołu, by zabrać nasze talerze.

– Załóżcie wieczorem wasze korony, czy wam się to podoba, czy nie – warknęła matka na pożegnanie i wstała od stołu. Na odchodne dodała jeszcze: – I wolałabym, by wam się to podobało.

Wspaniale. Kolejny raz nie wyszło. Ponad ramieniem matki dostrzegłam błysk błękitnego oka. To Erwin stał w drzwiach korytarza prowadzącego do kuchni. Uniósł kciuk w górę, jakby chciał powiedzieć „korona jest OK!”.

Złota korona, suknia przetykana złotymi nićmi oraz złote pantofelki. Wyglądałam jak jedna, wielka bryła złota. Siedziałam na miękkim fotelu z wysokim oparciem w swojej komnacie, spoglądając w lustro. Wyglądałam... całkiem nieźle.

Podskoczyłam nagle, gdy otworzyły się drzwi.

– Hej, Złotko! – To był Irek. – Jak wyglądam?

Jak krety. Miał na sobie nową, srebrno-złotą zbroję z herbem naszego królestwa na piersi. Wyszczерzył się i z dumą oparł ręce na biodrach.

– Oszalałeś? – zapytałam, krzywiąc się.

Mój brat podniósł brew i wyduł usta.

– Nie podobam ci się w tym wydaniu?

Wybuchłam śmiechem.

– Naprawdę oszalałeś. Po coś to w ogóle włożył?

– Byłem na chwilę w koszarach, żeby... A zresztą nieważne. – Westchnął ciężko.

– Przynajmniej ty wyglądasz dobrze – powiedział, opierając się o oparcie fotela.

Przyjrzałam się naszym odbiciom w lustrze. Od razu dało się zauważyć, że byliśmy rodzeństwem. Lubiałam szukać podobieństw na naszych twarzach. Te same orzechowe oczy, ciemnobrązowe włosy, proste nosy i wąskie usta. Służące zakręciły mi loki, które opadały falami na moje ramiona. Irek miał taką fryzurę, jak zawsze – krótkie włosy z grzywką opadającą na czoło. Ach, i miał też bródkę, która tak doprowadzała do szału naszą matkę.

– W tym wydaniu na pewno znajdziemy ci na dzisiejszym balu męża.

– Pocięło cię?! – Odwróciłam się, by go trzepnąć go w ramię, ale okazał się szybszy i zrobił unik.

– Matka rozważa, czy nie wydać cię za syna prawników.

Irek skubał bródkę ręką, na której się opierał, a mi serce podeszło do gardła. Matko Boska, tylko nie to! Irek zaczął trząść się ze śmiechu.

– Bardzo zabawne – powiedziałam naburmuszona.

– Wiem – odpowiedział, roztrzepując mi włosy, nim zdążyłam zareagować. – Idę przebrać się w coś normalnego.

Gdy był przy drzwiach przypomniałam sobie o czymś.

– Irek?

– Tak?

– Jeszcze raz wszystkiego najlepszego.

– Dzięki, Igo – odpowiedział.

Drzwi zamknęły się za nim, a ja westchnęłam głośno, wpatrując się w swoje odbicie. Wiedziałam, że matka lada dzień zapewne zapagnie wydać mnie za męża. To Irek był następcą tronu, nie ja. Ja byłam tylko towarem, który trzeba będzie kiedyś sprzedać z korzyścią dla królestwa. Byłam tylko księżniczką, która nie mogła niczego zmienić, by podwładnym żyło się lepiej. Od tego była królowa Adelajna i książę Ireneusz.

Wcześniej nawet chciałam. Jako nastolatka miałam głowę pełną pomysłów i jeszcze więcej zapału. Pewnego razu zjawiłam się na spotkaniu Małej Rady. Irek bardzo ucieszył się na mój widok, zadowolony, że chcę się czegoś nauczyć. Matka i jej doradca nie byli już tak zachwyceni, nie mówiąc o pozostałych członkach Rady. Pamiętam, że rozłożyłam na stole własnoręcznie narysowaną mapę Północy. Czerwonymi krzyżykami zaznaczyłam na niej, które domostwa najbardziej potrzebują pieniędzy i zażądałam dla każdego z nich po milion złotych monet. Nie wiem skąd miałam wiedzę na temat tego, kto jest najbardziej potrzebujący. Wówczas nie pozwalano mi wychodzić z zamku nawet w towarzystwie gwardzistów. Oczywiście ze spotkania wyszłam prędzej, niż weszłam i już nigdy więcej nie pozwolono mi się na żadnym zjawić.

Przeniosłam wzrok na kulę światła zawieszoną pod sufitem i wyobraziłam sobie u boku jakiegoś przystojnego chłopaka. Blondyna z błękitnymi oczami, prostymi białymi zębami i... Zaraz, zaraz, dlaczego pomyślałam o Erwinie? Zaczęłam się śmiać jak głupia, gdy wyobraziłam sobie minę mojej matki, gdyby ujrzała mnie przy ołtarzu z kimś ze służby.

Do komnaty weszła służąca, aby posprzątać. To była odpowiednia pora, by odwiedzić kuchnię. Uwielbiałam tam przychodzić, ale nie zdarzało się to często. Lubiłam obserwować pracę kucharzy, słuchać jak dowcipkują. Zawsze byli tacy zabawni. Dobrze, że matka o tym nie wiedziała. Nie lubiła, gdy ja i Irek integrowaliśmy się z służbą.

Idąc przez korytarz, rozglądałam się nerwowo w obawie, że spotkam matkę. Mogłaby zacząć zadawać niewygodne pytania typu: „Gdzie idziesz?”. Oparłszy się o drzwi wahadłowe, wpadłam na korytarz prowadzący do kuchni. Ciemne, pozbawione okien przejście miało dwa wejścia – jedno od strony jadalni, drugie od strony sali balowej. Tym razem wybrałam to pierwsze.

Dopałam w końcu kuchennych drzwi, boleśnie uderzając o klamkę. Roztarłam sobie bok, aby zmniejszyć ból i wtedy dotarło do mnie, że coś jest nie tak. Było zbyt cicho. Podniosłam wzrok. Marcinek siedział na blacie, usiłując otworzyć wino widelcem. Obok niego stała zupełnie pusta już butelka. Erwin, z patelnią w ręku, przypatrywał mi się. Do sufitu przyklejony był naleśnik.

– Coś się stało, księżniczko? – spytał Marcinek.

Był kompletnie pijany. Miał przekrwione oczy i nieogolone, zapadłe policzki. Wciąż na mnie patrząc wyciągnął korek zębami i upił potężny łyk prosto z butelki. Naprawdę dziwiłam się mojej matce, że go jeszcze nie wylała. Ale obietnica to obietnica. Moja matka dała ją matce Marcinka, gdy ta była na łożu śmierci. Obiecała, że da mu pracę, aby ten nie musiał biedować.

– Nie, nic się nie stało – odpowiedziałam. – Chciałam was tylko odwiedzić.

Zamknęłam za sobą drzwi. Erwin odetchnął z ulgą.

– Nastraszyłaś nas. – Erwin wszedł na stołek i usiłował zeskrobać naleśnika z sufitu.

– Wpadłaś tu z taką szybkością, jakby rozpoczęła się inwazja na zamek.

– Wybacz. Musiałam się odstresować. I to szybko.

Erwin parsknął.

– Odstresować? – Zszedł ze stołka. – I przychodzisz tam, gdzie stresu jest najwięcej?

– Tak. – Uśmiechnęłam się głupkowato, pokazując wszystkie zęby.

– Mam na to inne sposoby. – Kucharz dwukrotnie uniósł brew. – Marcinek, idziemy!

Otworzył drzwi prowadzące na podwórze. Stanęliśmy pod oknem mojej komnaty. Erwin wyciągnął z kieszeni ziele zawinięte w rulonik. Podał Marcinkowi jakiś przedmiot, z którego wydobył się ogień.

– Jednak założyłaś koronę – rzekł, mrużąc przy tym oczy.

– Nie miałam wyboru. – Wywróciłam oczami.

Erwin wyrwał Marcinkowi ziele, które ten najwyraźniej chciał odpalić nie z tej strony, z której powinien. Młodszy kucharz zapalił je poprawnie.

– Co to jest? – zapytałam, marszcząc brwi, gdy Erwin chował do kieszeni dziwny przedmiot, z którego wydobył się ogień.

– To? A, zapalmagiczka. Dostałem ją od Stukniętego Bartłomieja.

– Skurwysyn – mruknął ponuro Marcinek. I chyba dostał czkawki.

– Wyrażaj się! – zbeształ go Erwin. – A ty spróbuj – zwrócił się do mnie.

Wzięłam dymiące się ziele do ręki. Erwin kiwnął głową na zachętę.

– No dalej!

Wciągnęłam w płuca dym i zakrztusiłam się. Paskudztwo! Kwaśne paskudztwo.

Kucharze zarechotali.

– Nie podoba mi się – oznajmiłam z kwaśną, niczym samo ziele, miną.

Chwilę później wróciliśmy do kuchni. Kucharze natychmiast zabrali się do pracy. Erwin kontynuował smażenie naleśników, a Marcinek popijał wino, jednocześnie usiłując drugą ręką pokroić jakieś warzywo.

Kuchnia, jak i cały zamek, była magicznie modyfikowana przez magów, którym matka słono płaciła za wszystkie wynalazki. Światło bez słońca, ciepło bez ognia, zimno bez lodu. Rozejrzałam się po kuchni, zatrzymując wzrok na całej masie przedmiotów, których nie potrafiłam nazwać, ani nawet domyślić się do czego mogą służyć. Zajrzałam do dużej, gorącej szafy. Znajdowało się tam około dziesięciu rozmaitych ciast, co najmniej tuzin różnych rodzajów mięsa. Erwin przeszedł koło mnie i otworzył drzwi prowadzące do pomieszczenia zwanego chłodnią. Wrócił, trzymając w rękach zieloną kostkę jakiś roślin. Na końcówkach włosów oraz na rzęsach i brwiach osiadł mu szron. Erwin wrzucił kostkę na rozgrzaną patelnię.

– Co to? – zapytałam.

– Szpinak, księżniczko.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Dobrze, księżniczko.

– Hej! – wrzasnęłam, by się opamiętał.

Erwin puścił mi oczko. Drewnianą łyżką wymieszał szpinak, który zaczął przypominać wodorosty. Dodał jakichś przypraw i znowu zamieszał.

– Nigdy nie widziałam liści szpinaku w takiej formie – dodałam z przekąsem. – Wygląda bardziej, jak podwodny szpinak, czy coś takiego.

– Korzystam z nowych wynalazków czarodziei – odpowiedział kucharz. – Nie zawsze mamy na targu wszystkie potrzebne składniki, a chłodnia wydłuża żywotność pokarmów. Szpinaku również.

– Do czego go użyjesz?

– Dodam do ciastek.

Swoim spojrzeniem chyba zdradziłam, że kompletnie nie wiedziałam o co mu chodzi, bo oznajmił, że zaraz mi pokaże. Otworzył chłodziarkę, czyli małą szafkę, na którą magowie rzucili zaklęcie zamrożenia i wyciągnął z niej rulon zawiniętego ciasta. Rozprostował je i nożem podzielił na równe kwadraty.

Podniosłam lekko kącik ust. Pasował do niego ten nóż. Metalowe ostrze lśniło, jakby było nowe, a biała rączka idealnie wpasowywała się w jego dłoń. Dostrzegłam również grawerkę – słowo *Erwin* napisane na klindze.

– To ciasto francuskie.

Erwin uformował z niego zgrabne koszyczki i delikatnie wypełniał je szpinakiem.

– Czosnek, debilu – rzekł Marcinek i wyszedł do winiarni.

Erwin złapał szybko główkę czosnku leżącą na blacie i rzucił za Marcinkiem. Po okrzyku bólu stwierdziłam, że rzut był celny.

– Będę to musiał jeszcze udoskonalić – rzekł, wskazując na patelnię ze szpinakiem.

– Zapomniałem o czosnku.

– Z chęcią spróbuję takiego ciastka – powiedziałam całkiem szczerze.

– Jeszcze zobaczymy – odparł z przekąsem. – Najpierw musi przejść test Matki Służącej.

Matka Służąca była grubszą, ciemnoskórą kobietą po pięćdziesiątce i służyła w moim zamku jeszcze, gdy nie było mnie na świecie. Pilnowała pokojówek i kucharzy, rozdzielając im obowiązki i zadania. Współpracowała z magami w kwestii ulepszeń zamku i konsultowała wiele spraw z moją matką. To, jak wyglądać miały przyjęcia i inne uroczystości, na jaką liczbę gości służące powinny przygotować krzesła czy talerze... Matka Służąca pilnowała wszystkiego twardą ręką, dzięki czemu królowa była bardzo zadowolona z jej pracy.

Wrócił Marcinek, rozcierając sobie tył głowy, i bezceremonialnie otworzył kolejne wino.

– Mógłbyś mi pomóc – powiedział Erwin z wyrzutem.

– Nie narzekaj. Lepiej pokaż księżniczce co dzisiaj wymyśliłeś!

– Co wymyśliłeś? – dopytywałam.

– Do zapchlonego smoka. Marcin, mówiłem ci już. Nie podam tego, bo się nie nadaje. Rozumiesz?

– Jak tam chcesz. – Drugi kucharz wzruszył ramionami.

– No, co wymyśliłeś? – powtórzyłam niecierpliwie.

Erwin w końcu przeniósł na mnie swoje spojrzenie. Wyglądał, jakby w głowie kłócił się sam ze sobą. Chyba się zaczerwieniłam. Onieśmielał mnie, ale dumnie postanowiłam nie przerywać tego pierwsza. Byłam przecież księżniczką. Kucharz wyciągnął rękę w kierunku chłodziarki i coś z niej wyjął. Uparcie nie odrywałam spojrzenia od jego oczu, więc nie widziałam co. Nim zdążyłam się zorientować, drugą ręką roztrzepał mi włosy, tak że korona prawie spada mi z głowy. Dopiero wtedy przestałam się w niego wpatrywać.

– Nieugięta jesteś – zauważył. – Ale przegrałaś.

Odburknęłam coś pod nosem o oszustwie i zajrzałam do garnuszka z jakąś galaretowatą substancją, którą Erwin zdążył już wymieszać i podgrzać.

– Co to? – spytałam.

– Sama zgadniesz.

Dodał trochę wody, mieszał jeszcze przez chwilę i podał mi małą łyżeczkę. Nabrałam na nią substancję, która zmieniła konsystencję. Nadal była gęsta, ale gładka, bez żadnych grudek. Skosztowałam i stwierdziłam, że była wyśmienita. Mogłabym jeść to codziennie.

– Mmm! Bardzo dobre. – Oblizałam łyżkę. – Ale nadal nie wiem co to.

– Naprawdę ci smakuje? – Zmarszczył brwi w zdziwieniu.

– Smakuje. Co to jest i z czym to podasz?

– To sos serowy, księżni...

– Nie próbuj nawet kończyć tego słowa! – krzyknęłam.

Erwin uśmiechnął się i zwrócił do Marcinka.

– Z czym to podamy?

– Myślę, że ze spirytusem będzie idealne.

Erwin przewrócił oczami.

– Pani kierownik-królowej na pewno się spodoba! – powiedział Marcinek. – Pamiętasz tego zakalca, którego podaliśmy w tamtym roku?

– Pamiętam... – odpowiedział Erwin przez zaciśnięte zęby. – Jednakowoż proszę cię, zamilcz.

– Ha, ha! Chyba ze dwa miesiące leżało to w kredensie! A my je wyciągnęli, nasączyli w spirytusie, pleśń odkroili i wio na stół! Tak królowej smakowało!

Marcinek chichotał jeszcze przez chwilę, po czym upił łyk wina.

– Udaj, że tego nie słyszałaś – wyrecytował szybko Erwin. – Podam sos serowy na przystawkę z surowymi warzywami i może pieczywem – dodał, już nieco wolniej. – O ile oczywiście przejdzie test...

– Tak, tak, wiem. O ile przejdzie test Matki Służącej. Jestem pewna, że wszystkim będzie smakować – odpowiedziałam, ignorując historię o spleśniałym cieście. – A teraz już wam nie przeszkadzam.

Odwrociłam się w kierunku drzwi, postanowiwszy przygotować się psychicznie do przyjęcia. Wychodząc, czułam na plecach wzrok Erwina.

Zawirowałam. Skończył się kolejny taniec, orkiestra przestała grać. Doczekałam się! Od początku przyjęcia byłam zapraszana do tańca przez coraz starszych, coraz bardziej obleśnych i coraz bardziej pijanych mężczyzn. Dowódca armii, z którym tańczyłam uklonił

mi się i odszedł. Prawdopodobnie miał na imię Piotr. Albo Łotr. Mówił bardzo niewyraźnie, więc nie byłam pewna. Służąca podała mi białe wino, upiłam łyk i, lekko się chwiejąc, podreptałam w kierunku mojego brata – solenizanta.

Odnalazłam go w towarzystwie panien z bogatych rodzin. Chichotały jak kretyнки, zabiegając o jego względy. Za każdym razem to samo... Irek oczywiście uśmiechał się do dziewcząt grzecznie, trochę kokieteryjnie odpowiadając na pytania, ale wiedziałam, że żadnej z nich nie poprosi do tańca. Nigdy nie tańczył.

Zawołałam go po imieniu, aby zwrócił na mnie uwagę. Dostrzegł mnie, gdy potknęłam się na ostatnim stopniu, schodząc z niewysokiego podestu, na którym odbywały się tańce. Kieliszek z winem trzasnął głośno o posadzkę, a ja uklęknęłam na jedno kolano. Moja ręka wylądowała w kałuży alkoholu. Jedna z dziewcząt ośmieliła się wybuchnąć śmiechem, ale szybko się opamiętała. Brat pomógł mi wstać. Podziękowałam mu i lekko uścisnęłam. Służące prędko podbiegły, by posprzątać cały bałagan, ale ja miałam ważniejsze sprawy, aniżeli kieliszek.

Wcześniej wypite wino dodało mi odwagi. Odrzuciłam loki na bok i pewnym krokiem zmierzałam w kierunku dziewczyny, która się przed chwilą śmiała. Była córką Jakuba, doradcy mej matki.

– Coś cię rozbawiło, Dagmaro? – warknęłam.

– Nie, pani. Oczywiście, że nie. – Spuściła głowę.

– Żartujesz sobie? Proszę, śmiało! Powiedz mi z czego śmiałaś się chwilę temu.

– Książę opowiadał nam dowcip, pani. Proszę, powiedz jej! – Dagmara błagającym wzrokiem spojrzała na mojego brata.

Irek podszedł bliżej i objął mnie w pasie.

– No cóż... Tak było, siostrzyczko.

Chciałam go skarcić za łgarstwo, ale on położył mi palec na ustach i zabrał na stronę.

– Nie denerwuj dzisiaj matki.

– Ta idiotka się ze mnie śmiała!

– Jesteś już pijana, a matka nawet nie zdążyła wyrecytować przemówienia. Opamiętaj się.

Irek pozostawił mnie samą sobie. Postanowiłam coś zjeść akurat, gdy matka powstała. Wszystkie głośne rozmowy przeobraziły się w szepty, a po chwili kompletnie ucichły. Przeszłam koło grupki magów odzianych w dziwne stroje. Był wśród nich ulubieniec mojej matki – Stuknięty Bartłomiej. Trzymał w rękach jakiś niewielki przedmiot, przypominający kołowrotek.

– Pragnę podziękować wszystkim zebranym za przybycie na urodziny mego jedyne go syna Ireneusza. Jakże wielką przyjemnością jest gościć was w murach mego zamku. Zgodnie z prawem...

– Które sama ustanowiłaś... – mruknęłam pod nosem.

– ...mój syn już jutro rozpocznie szkolenie wojskowe, aby móc dumnie reprezentować mnie, swego ojca oraz całą Północ w nadchodzącej wojnie. Dobędzie miecza i poprowadzi naszą armię na królestwo Lancelota, aby odbić Magiczne Wrota, by te już na zawsze pozostały naszą własnością.

Nudziłam się. Przypomniało mi się, że miałam coś zjeść. Stoły wręcz uginały się od nadmiaru potraw. Bal musiał być wystawny, by goście mieli o czym rozmawiać. Matka lubiła być zachwalana, dlatego też całą salę balową służące przyozdobiły najkosztowniejnymi firanami i obrusami. Naznosiły wazonów i rzeźb z całego zamku tak, by panował tu jak największy przepych.

Stoły z ciepłymi daniami ogrzewane były za pomocą magii, by utrzymać ciepło potraw, a te które wymagały schłodzenia były magicznie schładzane. Na pierwszym znajdowały się ciasta. Rabarbarowe, wiśniowe, truskawkowe, z czekoladą i bananami, z owocami egzotycznymi, które statkami przyływały do nas tylko raz do roku... Na środku stołu stał tort bezowy z purpurowym kremem z jagód. Na drugim stole mięsa: przepiórki wielkości mandarynki, wieprzowina, dziczyzna z borowikami, kaczka, której zapach czuć było rano, warkoczyki drobiowe z sezamem. Na następnym stole ogromne parujące kotły z zupami. Tutaj zamieszanie było największe. Służący nalewali je do głębokich talerzy i roznosili po sali do poszczególnych gości. Dostrzegłam pikantną zupę z dyni, słodką marchewkową, przecieraną paprykową, maślaną z prażoną cebulką i aromatyczny bulion z kury. Na kolejnym stole stały misy z ziemniaczkami. Z koperkiem i masłem, smażone w oleju rzepakowym z przyprawami w różnej formie: w plasterkach, paskach i ćwiartkach. Oprócz tego ryż i makarony w sosach i bez. Zielone i pomarańczowe, rozmaite. Pośrodku znajdował się mały stolik z lodowymi kapsułkami poukładanymi na piętrowej paterze. Minęłam jeszcze kilka stołów z napojami, alkoholem i sałatkami. W końcu natrafiłam na przystawki, wśród których ubył już całkiem sporo jedzenia. Zauważyłam puste talerze po naleśnikach na słono, których nie miałam już okazji skosztować. Ale szukałam czegoś innego.

Byłam już tak głodna, że nie chciało mi się czekać przy stole na służącą. Zamoczyłam marchewkę w sosie serowym i po kolei oblizawałam każdy palec, co nie przystoi księżniczce. Zauważyła to żona architekta, pulchna kobieta z masą pierścionków na serdelkowatych palcach.

– Co za brak kultury! – prychnęła z odrazą.

– Chce pani trochę? – Podsunęłam jej pod nos miskę z sosem serowym.

– Oburzające!

Odeszła, pozostawiając mnie samą przy stole z przystawkami. Więcej dla mnie.

– Lancelot, jak powszechnie wiadomo jest zabójcą mego pana męża, a odebranie mu Magicznych Wrót jest dla nas niebywale ważne, gdyż tylko dzięki nim...

Matka w dalszym ciągu przemawiała, a ja usłyszałam za plecami śmiech.

ZACHĘCAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI KSIĄŻKI!